

Jacek Bierut

PRZESIEKA

TRAKT 7

W rytmie wiersza kryje się pewna nienaturalność, ale to przyszczy w porównaniu z czymś, co pewien Czech, zapewne od biedy, nazwał przepalonym bezpiecznikiem wstydu. Poezja albo – mówiąc mniej niepewnie – pisanie wierszy, a szczególnie ich późniejsze publiczne głośne czytanie, jest swoistym obnażeniem, zdaje się idącym znacznie dalej niż zajęcia uznawane dość powszechnie za nieprzyzwoite. Ale to jeszcze nic.

Pomińmy (uzasadnione przecież) gadanie teoretyków literatury o tym, że osobą mówiącą w wierszu nie jest (choćby bardzo chciał) autor. Pomińmy i to, że do końca nigdy się nie dowiemy, kim ta osoba jest. Powołanie jej, przecież jedynie jako niejasnej kategorii, niewiele przysłania. To wszystko w całej sprawie wydaje się najmniej ważne. Owo obnażenie jest bowiem warunkiem koniecznym wiersza, nawet jeśli jest on pisany wszystkimi kategoriami nieszczerości. Ono wyłazi samo, z rytmu, z ostatnich, najmniej istotnych warstw znaczeń, z bicia sylab. Ktoś kiedyś powiedział, że nie da się kłamać w wierszu, i chociaż mówił to w zupełnie innym kontekście, absolutnie zresztą błędnym („dobry” wiersz – warunek konieczny – szczerłość), trzeba mu przyznać rację, z pewnym zastrzeżeniem – tak naprawdę kłamać można ile wlezie, ale są osoby, których okłamać się nie da w tej materii, choćby się było nie lada mistrzem poetyckiej hochsztaplerki.

Zaczyna mnie irytować, że piszę o tych sprawach tak niejasno. Znalazłem sobie jednak wytłumaczenie, które dobrze brzmi, choć zdaje się, nie jest prawdziwe – nie lubię się tanio obnażać, chociaż obnażanie jak najbardziej postrzegam dość miło. Piszę przecież o pewnej nienaturalności kryjącej się w rytmie wiersza, śmiesznej wręcz, kiedy przejrzy się gazety albo wspomni dawnych przyjaciół, z których nie zostało prawie nic, nie mówiąc już o skrzynce na listy, do której doręczyciel dorzuca wciąż nowe koperty z pieczętami.

Może powiem to wprost? Szanowni Państwo, obrodziło nam ostatnio ludźmi o wielkim językowym słuchu i ponadprzeciętnych możliwościach konstrukcyjnych, takimi niesłuchanie zdolnymi iluzjonistami, lingwistycznymi spryciarzami, którzy posiadli umiejętność łączenia ze sobą słów, a połączonych słów cięcia na wersy, przy zachowaniu do nich maksymalnego (jak na te warunki) dystansu (warunku koniecznego, jeśli chce się zachować możliwości ciągłego uprawiania tej sztuki). Obrodziło nam mistrzami rzemiosła, hochsztaplerami, którzy opanowali trudną sztukę łączenia słowa ze słowem. Nie mówię o tym z niechęcią, wręcz przeciwnie, zdaję sobie sprawę, jak bardzo przyczynili się do (łatwego do zaobserwowania) podniesienia „technicznego” poziomu poezji polskiej, uniesienia jej wręcz w rejony dotąd trudno dostępne nawet dla tych nielicznych, co dostali od Bozi stołek albo nawet drabinę. Oni to, ci iluzjoniści, być może w pewnym stopniu sprawili, że tak wielu ostatnio chwyta za pióro. Właściwie niewiele mnie to obchodzi, ale planowałem skierować ten tekst akurat w ich stronę, w stronę tych, którzy już niebawem będą pisać jeszcze lepiej, jeszcze piękniej, jeszcze bardziej w próżnię: uważaj, jeśli piszesz wiersz i nie palisz go natychmiast, nie niszczysz, zostawiasz po sobie wstrętny ślad, zostawiasz rytm i bicie sylab, coś, co obnaża, mówiąc

bardzo nieprecyzyjnie, twoją słabość i nikłość, twoją cieniastość, znacznie wyraźniej, znacznie bardziej widocznie niż twój „geniusz”, choćbyś był nie byle jakim mistrzem tej całej hochsztaplerki, a nawet choćbyś dostał stołek.

DUKT 11

Coś w tym jest, że pisarzy, których cenię najwyżej, łączy pewna skaza. Ale czy pisarz koniecznie musi mieć zmarnowane życie, rozpieprzoną rodzinę, powalone przez trudy dzieciństwa dzieci (jeśli je w ogóle ma), długi, ciemne epizody, kartoteki? Czy musi pracować na „legendę” z najważniejszymi punktami stałymi na pierwszych miejscach rankingu, czyli z pijaństwem, zmiennością związków, nieprzewidywalnymi decyzjami lub ucieczkami od nich? Czy musi mieszkać byle gdzie, łapać fuchy, wyczekiwać na marne grosze za publikacje w dziwnych miesięcznikach, pismach dla pań, kwartalnikach, których prawie nikt nie czyta? Albo, w najlepszym razie, czy musi pracować na etacie w którymś z takich pism, ewentualnie innych tygodników, dzienników? Czy musi wykładać współczesną literaturę, stresować się punktami za publikacje, doktoratem, habilitacją? A jeśli już ma kasę z tytułu urodzenia, to czy musi mu się przytrafić taka martwica „szczęścia” jak (R.) Rousselowi, Wittgensteinowi czy Proustowi? Jak dość marne prywatne życie, jakiego doświadczył (skądinąd biedak) Fernando Pessoa? I najmniej tu myślę o ich homoseksualizmie, raczej o jakimś „odrętwieniu”, niezgrabności sił witalnych, w takim stanie zawieszenia trzymającym na przykład Kafkę. Czyli czy pisarz, jeśli to jego pisanie ma być coś warte, musi sobie słabo radzić z emocjonalną, materialną i moralną stroną życia? Sprzedawać spore jego fragmenty jakiemuś pracodawcy? Do końca chować się przed światem w domu rodziców jak Proust? Kończyć wyklęty, jak Céline? Rozpieprzyć życie córce, jak Joyce? Przykładów jeszcze długo by nam tu nie zabrakło.

Pamiętam, jak tysiąc lat temu, kiedy byłem jeszcze młodym (odkrywającym literaturę bardzo naiwnie, ale w uroczym szeregu błysków) człowiekiem, liceum, w którym bardziej udawano, że się uczy takich jak ja, niż ich rzeczywiście uczono, dostąpiło akurat w tym wspaniałym czasie nieustającego święta podejrzanego zaszczytu posiadania Patrona, bardzo niby-uroczyście (w obecności władz partyjnych, wojewódzkich, kuratorskich i kogoś jeszcze) nadawano mu imię Norwida (a robiono to, oczywiście, w stylu idealnie wbrew czemuś, co można nazwać „duchem Norwida”) i matematyk (czyli właściwie nauczyciel matematyki), którego wówczas bardzo ceniłem i wciąż cenię, powiedział, że to głupie, bo może i ten Norwid rzeczywiście przerastał swoją epokę i pisał rzeczy wartościowe i poruszające (profesor „Gienek” Jakubas znał się nieco na literaturze i dlatego to jego powątpiewanie miało pewne warte do wzięcia pod uwagę podstawy), ale czy ktoś z was (tu się zwrócił bezpośrednio do nas, tych kilku uczniów w klasie, z którymi lubił się zapędzać w rozmowy ocierające się o trudne i nieoczywiste kwestie) chciałby żyć tak jak Norwid?

I pozwolę sobie nijak nie kończyć tego felietonu, bo wszystko, co mógłbym teraz dopisać, wydaje mi się niepotrzebne.